

ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 161.

№ 23. | Warszawa, 1 grudnia 1905 r. | Rok VII.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.



Borsuk w opałach.

WIKTOR STEPHAN.

KUROPATWA.

(*Ciąg dalszy*).

Do hodowli kuropatw nadaje się nasz kraj w całej rozciągłości.

Lubo kuropatwy przenoszą okolice o wysokiej kulturze nad mniej kulturalne, to jednak dziś już cały kraj stoi na tej wyżynie gospodarczej, że kuropatwy, odpowiednio hodowane, mogą stanowić wszędzie stały, miejscowy zwierzostan.

Rozumie się samo przez się, że w miejscowości o gruncie żyznym, przedzielonym bujnemi łąkami, bieżącemi wodami, których brzegi porosłe są różnemi krzewami, a pola opatrzone w stałe i przenośne remizy, będzie kuropatw więcej przy równej zresztą hodowli i ochronie, aniżeli w miejscowości, gdzie tego wszystkiego nie dostaje.

Świadomi zwyczajów i upodobań, jak niemniej okoliczności, sprzyjających rozmnoży kuropatw, przygotowujemy w porę nasz teren łowiecki odpowiednio, a następnie wdrażamy sztuczne zaprowadzenie zwierzostanu. Zapewne, że na terenach nagich i nieprzygotowanych, potrzeba będzie dosyć długiego czasu, aby wytworzyć wszystko, co potrzeba do racyonalnej hodowli, okres ten jednak można nawet do jednego roku skrócić przez założenie remiz czasowych z bulwy, końskiego zębu, lub kukurydzy, sadząc, względnie siejąc, te rośliny na rok przed zaprowadzeniem kuropatw.

Odpowiednio po terenie założone i rozmieszczone remizy przenośne, stoją na pniu przez zimę do wiosny, na wiosnę zakładamy nowe remizy w tej samej ilości i położeniu, a zatem mogą być obok przy starych założone, a kiedy pod jesień nowe podrosną, można zeszłoroczne pokasować. Do tak przygotowanych remiz wypuszczamy na wiosnę kuropatwy rozplodowe. Kuropatwy rozplodowe dostawia się w klatkach na miejsce wypuszczenia, wszystkie razem. Miejsce do wypuszczenia obrać należy w środku terytoryum i nie koniecznie blizko remizy. Jako czas do wypuszczania kuropatw, najodpowiedniejszy uważam wczesny ranek, a nie, jak to radzą niektórzy, wieczór, czyli na noc.

Kuropatwa to nie bażant, który, wypuszczony wieczorem, siada na drzewie i tym sposobem, chociaż nieobeznany z miejscowością, już przez to samo, że siedzi wysoko, ochrania się przed napaścią wielu drapieżników. Znając zwyczaje kuropatw, wiemy, że stadko, zanim się uda na spoczynek, wyszukuje sobie starannie miejsce noclegu przez kilkakrotną zmianę pozycyi. Kuropatwy, wypuszczone na noc, czynić tego nie mogą, bo, jak wiadomo, w nocy źle widzą, więc z tego powodu, jak błędne owce, błąkać się będą po terenie, przez co bardzo łatwo cała partya kuropatw paść może ofiarą lisów, lub innych nocnych drapieżników.

Dostawione kuropatwy na miejsce przeznaczenia, pozostawia się pewien czas, aby się uspokoiły, a zajęci dostawą ludzie, spiesznie odchodzą, z wyjątkiem jednego, który kuropatwy ma z klatki wypuścić.

Kiedy ludzie oddalą się dostatecznie i między kuropatwami zapanował spokój, odsuwa pozostały zasuwę klatki i również śpiesznie odchodzi.

Teraz kuropatwy, jedna po drugiej, wychodzić będą spokojnie na otwarte pole, a łącząc się w partye, według upodobania, zobaczą za chwilę światło dzienne, które zaraz na wstępie odda im przysługę w wyszukaniu żeru i odpowiedniego schronienia.

Łowienie, jak niemniej sposób przesyłki kuropatw, omówione jest niżej, w czwartym rozdziale.

Kuropatwa z natury swej nie nadaje się do sztucznej hodowli. We Francyi atoli, jako w kraju postępowym, który pod wielu względami innym przoduje, rozpoczęto przed lat dziesiątkiem sztuczną hodowlę kuropatw, i podobno z bardzo dobrym wynikiem. Widać z tego, że z pewnym nakładem kapitału i umiejętnej pracy można nakłonić stworzenie do rozmnoży w niewoli nawet wtedy, kiedy jego natura wymaga w tym celu swobody.

Głównym warunkiem do rozmnoży kuropatw w niewoli są obszerne, a zatem i kosztowne, druciane zagrody. We Francyi nie zakrywają tych zagród z wierzchu, ażeby zaś uniemożliwić wydostanie się kuropatw na zewnątrz, wiążą im odpowiednio lotki, które rozwiązują przy wypuszczaniu na wolność.

PRZYGODA Z MYSIEM.

Opowiedział

Stary Sonntagssjäger.

(*Dokończenie*).

Zdziwisz się łaskawy czytelniku, że, zapowiedziawszy opis przygody z mysiem, opowiadam ci o jarząbku. Kończę więc i wracam do przerwanego toku opowiadania.

Już naprzód cieszyłem się zapowiedzianą przez ojca, wycieczką, ojciec bowiem był mistrzem w wabieniu i polowaniu na jarząbki i nie przytrafiło nam się nigdy, ażebyśmy wrócili z takiego polowania z próżnemi rękami. I mnie, jakkolwiek początkującemu, udawało się wówczas czasem zwieść jakiego, również początkującego jarząbka.

Wyszliśmy o wschodzie słońca, gdyż droga była daleka. Dzień zapowiadał się piękny; w porannym chłodzie posuwaliśmy się wesoło w góry lasami, prawym brzegiem rzeczki Bystrzycy. Zatrzymywaliśmy się od czasu do czasu w stosownych miejscach, a ojciec wabił. Już po kilka jarząbków wisiało na trokach, gdy około godziny drugiej z południa dotarliśmy do granicy lasów mraźnickich i kropiwnickich. Zatrzymaliśmy się nad głębokim jarem, zarosłym malinami, ożynami, dzikim chmielem i innem zielskiem, które tworzyło formalne sklepienie. Ja zająłem stanowisko na jednej, ojciec na drugiej zboczy wąwozu. Po chwili ojciec zawabił i zaraz posłyszałem za sobą charakterystyczne burknięcie zlatującego jarząbka. Drugi świst, i jarząbek biegiem zbliża się do mnie. Wytrzymuję, aż zbliżył się na jakie dwadzieścia kroków, i strzelam, strzepnął skrzydłami i został. Podchodzę i podejmuję go, wtem widzę, jak owo sklepienie w parowie w jednym punkcie, nie dalej, jak na 15 kroków odemnie, zaczyna jakby falować, podnosić się i wydłużać w kierunku ku mnie. Nie pojmując, co to ma znaczyć, opuszczam jarząbka i chwytam strzelbę, przybierając pozycyę „gotów". Trwało to zaledwie kilka sekund, gdy z pod zielonej pokrywy wysunęła się naprzód czarna, ogromnych rozmiarów głowa, a za nią ogromne, kosmate cielsko... Ciarki przeszły mi po ciele, gdyż oddalenie bestyi nie wynosiło więcej nad 10 kroków... Zerknął na mnie swojemi maleńkiemi, czarnemi oczkami i zwrócił głowę, zabierając się do odwrotu. Jak automat, składam się i... palę w czarną kupę.. Po strzale oprzytomniałem i dopiero teraz z przerażeniem sobie przypomniałem, że lufy mojej strzelby próżne!... A była to pistonówka!... Drżącą ręką sięgam do torby po nabój, który wtedy przechowywano w blaszanej rurce, podzielonej na dwie połowy poprzeczne, z których jedna na proch, dru-

W zagrodach wychowane kuropatwy wypuszczają na wolność po kilku tygodniach życia.

U nas może się częściej zdarzyć, że opuszczone jaja przez kuropatwę, podkłada się pod kurę domową. Wówczas wylęgłym kuropatwom pierwsze 12, a nawet 24 godzin nie potrzeba dawać żadnego pożywienia. Następnie, jako pierwsze pożywienie, zadawać łatwo strawną, ale posilną karmę, a zatem mrówcze jaja w małej ilości, jednak zadawać często – 6 do 8 razy dziennie, stopniowo, dodawać różne małe siekane robaczki. Jaje na twardo gotowane bardzo lubią, ale jako trudniej strawne, powoduje często, zwłaszcza obficiej zadane, u kuropatw biegunkę, po kilku dniach atoli można dodawać do innej karmy i jaja, ale wówczas oddzielać żółtka i dawać samo białko, jest bowiem o wiele zdrowsze.

Stopniowo można dodawać nieco jaglanej kaszy, a między 2 a 3 tygodniem, kiedy organy trawienia wzmocnią się, także pszenicę. Po żerowaniu karmę zawsze uprzątać. Kiedy kuropatwy mają 5 — 6 tygodni, zadawać tylko 3 razy dziennie, a jak zaczną podlatywać, t. j. jak będą lotne, to najlepiej je wypuścić.

(*C. d. n.*)

DROP.

(Krótka monografia podług opisu Czecha, J. Wytlacila, braci St. i B. Kubickich oraz innych źródeł).

(*Ciąg dalszy*).

Po ubiciu dropia trzeba go natychmiast rozpłatać i wymyć silnym octem; wątrobę, która stanowi wyborny przysmak, wsadza się na rożen i zjada apetycznie. Nazajutrz, dropie ubite, które przez noc wiszą na wolnem powietrzu, przepłukuje się raz jeszcze octem i opakowuje grubo wokoło trawą mokrą od rosy, żeby nie ucierpiały ani z powodu żaru słonecznego, ani przez muchy. Stada, do których już strzelano, nie będą nazajutrz dotrzymywać; nie dowierzają także odtąd wozowi i wietrzą wszędzie nieszczęście, wskutek czego bardzo jest trudno je podejść. Niekiedy myśliwi, podczas okolenia, schodzą z wozu wśród jazdy, przypadają do ziemi i usiłują niepostrzeżenie zbliżyć się do zwierzyny. W ten sposób, po pewnym czasie okalają ptaki ze wszystkich stron. Na znak umówiony, myśliwi się podnoszą i podbiegają natychmiast do dropi. Te, wzięte nagle podejściem, tracą panowanie nad sobą, są zbite z tropu, nie wiedzą, jak to się stało, i usiłują ratować się lotem. Lot ich jednak jest za nizki i wtenczas można kilka upolować bardzo łatwo.

W pobliżu Bukaresztu strzelają do dropi z karabinów. Przy takiem polowaniu myśliwy, siedzący na wozie, bada całą okolicę za pomocą dobrej lunety. Gdy tylko zauważy zwierzynę, strzela do niej z odległości 200 – 300 kroków. Takie polowanie jednak nie jest interesujące, gdyż brak na niem wszystkiego, co tak zwykle myśliwego podnieca przyjemnie.

W Rumunii praktykuje się wprawdzie jeszcze jeden sposób polowania, który w praktyce pozwala łowić dużo dropi bardzo łatwo, lecz sposób ten jest niżej krytyki i godny potępienia, ponieważ przedstawia za wielkie niebezpieczeństwo dla tej zwierzyny i może spowodować wyginięcie gatunku. Mówimy tu o łowieniu przy gołoledzi i na mroźnem powietrzu. Najbardziej groźną dla tego ptaka jest gołoledź, na której nie mogą szybko biegać, a ponieważ pióra ich wtedy także przymarzają, przeto nie mogą również szybko zrywać się w górę; w takich warunkach są zupełnie bezradne, może je atakować zarówno pies, jak człowiek, i robić z niemi, co mu się podoba. Jest to więc dobre polowanie tylko dla tych, którzy uprawiają myślistwo dla – mięsa.

Oprócz wielkiego dropia, biją w Rumunii, przy sposobności, także dropie karłowate, których mięso jest znacznie delikatniejsze i smakowitsze, niż mięso wielkich dropiów. Na karłowatego dropia poluje się tak samo, jak na wielkiego, ale jeszcze rzadziej udaje się polowanie na nie, z powodu znacznie mniejszej ich objętości.

Szczegóły powyższe uzupełniamy niektóremi wskazówkami, zaczerpniętemi: 1) z artykułu p. Stanisława Kubickiego w „Łowcu Polskim“ r. 1900 p. t.

---

ga na śrót była przeznaczona,—gdy wtem pada strzał w miejscu, gdzie ojciec obrał sobie stanowisko... i słyszę komendę jego: „Poszedł w dół parowem, zdaje się, że obydwa ślepia ma wybite... dobiegaj i strzelaj, ale tylko z jednej lufy, potem czekaj, aż ja dobiegnę“. Skończywszy nabijanie, puszczam się na łeb na szyję zboczą parowu w dół i gonię z szybkością strzały. Czuję gorąco w całem ciele, pulsa na skroniach walą, jak młotem... mijam gąszcz, z której niedźwiedź wylazł... i widzę ojca, biegnącego przeciwnym brzegiem parowu. Zaledwie ubiegliśmy około 100 kroków, gdy ujrzeliśmy mysia, siedzącego, jak pies, na zadzie i potrząsającego głową, jakgdyby odpędzał od siebie muchy. Zwrócony był do nas tyłem, nie wiedzieliśmy zatem, czy nas spostrzegł, czy nie. Oddalenie między nami a nim mogło wynosić do 80 kroków. Ojciec ruchem ręki przyzywa mię do siebie i mówi urywanym głosem: „Będziemy strzelali na przemian, ale pamiętaj, żebyś zawsze jedną lufę miał nabitą, żebyś przypadkiem przez zapomnienie nie dał i drugiego strzału, nim ja nabiję, bo w razie, gdyby nas zaatakował, bylibyśmy bezbronni. Uważaj i strzelaj z zimną krwią, bo to nie żarty“. Wysłuchałem w skupieniu ducha tej admonicyi i teraz jeszcze większy strach mię ogarnął. Posuwamy się ku zwierzowi z palcem na cynglu... czuję, jak kapelusz podłazi do góry... ściskam konwulsyjnie strzelbę, nie odrywając wzroku od czarnej bestyi. Widocznie posłyszał szelest naszych kroków, gdyż nagłym ruchem zwrócił głowę w stronę ojca, nie ruszając się wcale z miejsca. Ojciec przystanął i rzucił mi krótkie „baczność“! Zatrzymałem się również. Ojciec zrobił jeszcze parę kroków, a gdy już był jakie 10 kroków od niedźwiedzia, złożył się i dał ognia. Niedźwiedź, jak gdyby go kto odrzucił, skacze w bok... wydając głuchy pomruk, — składam się i daję ognia... jeszcze groźniejszy pomruk i... zwierz niekontent z takich żartów, puszcza się w pierwotnym kierunku parowem w dół, a my za nim. Nabijamy strzelby w biegu, większa część prochu wysypuje się po za lufę na ziemię, to samo dzieje się ze śrótem; o należytem przybiciu ładunku ani myśleć, gdyż niedźwiedź oddala się coraz bardziej. Dobiegamy go znowu i powtarza się poprzednia scena: strzela ojciec, strzelam ja, niedźwiedź zmyka, a my za nim w szalonym tempie, po kłodach, zwałach, wywrotach, z góry na dół, to znowu z dołu do góry. Dochodzimy go znowu i dajemy po jednym strzale... i jazda na złamanie karku... Pot strumieniem leje się ze skroni, w których pulsa biją, jak młotem, nogi poczynają odmawiać posłuszeństwa i tchu braknie. Orestes, uchodząc przed Eumenidami, byłby im z pewnością uszedł, gdyby przynajmniej o połowę biegł tak szybko, jak my. Dochodziliśmy właśnie do trzeciego rewiru, pnąc się w górę; niedźwiedź jednak wyprzedził nas znacznie i po chwilce zniknął nam z oczu po przeciwnej stronie góry.

„Stój“! krzyknie ojciec, dalej nie pójdziemy, bo nam strzelby odbiorą.

„Kilka słów o polowaniu na dropie“, oraz 2) z niedrukowanego listu „O dropiu“ p. B. Kubickiego.

Pierwszy zapewnia, że dropia spotyka się „na Kujawach, w Łowickiem i na Podlasiu“; dodaje też, że zabicie dropia myśliwi, z powodu wielkiej trudności, porównywają z upolowaniem niedźwiedzia.

Dalej zaznacza, że samo znalezienie dropia zajmuje niekiedy dzień cały i że trzeba się koniecznie zaopatrzyć w lornetkę. Zatrzymując się nieco dłużej nad opisem polowania z naganką jesienią, p. K. przytacza jeszcze następujące nowe szczegóły: „Polowanie z naganką wymaga zawsze około 6 — 8 ludzi, z których 4 — 5 minimum uzbrojonych być musi w nieposlednią broń. Mając już znalezione stado dropi, należy wymiarkować kierunek wiatru, bo wiedzieć trzeba, że drop, zerwawszy się, lecieć lubi najczęściej w takim kierunku, aby wiatr wiał mu pod jedno ze skrzydeł. Zbliżywszy się na 500—600 kroków do stada, myśliwi powinni ostrożnie poschodzić z furmanek i ukryci, o ile możności, za niemi objeżdżać stado z jednej strony. przyczem co 60 — 100 kroków jeden z myśliwych zostaje. Furmanki z resztą myśliwych w dalszym ciągu odjeżdżają, nie zatrzymując się ani chwili. Gdy już wszyscy myśliwi na swoje miejsca pozrzucani zostali (tworząc półkole), furmanki z pozostałymi naganiaczami jadą znowu dalej, nie zatrzymując się, i okrążają po maleńku stado. Następnie zaleca ściśle przestrzegać następujących warunków:

1) Przy rozstawianiu się na stanowisku, potrzeba, jak można najszybciej położyć się „plackiem“ na ziemi z za furmanek, tak, aby dropie nie spostrzegły, że ktoś z ludzi na tem miejscu został.

2) Myśliwy, w pozycyi, w jakiej się położył, powinien zostawać do samego końca, gdyż najmniejszy ruch zdradzić może jego obecność i zepsuć polowanie zupełnie.

3) Głowy nie podnosić do góry pod żadnym pozorem, lecz, oparłszy brodę na ręce, rzucać od czasu do czasu wzrokiem przed siebie w górę.

4) Fuzyę trzymać poziomo i jaknajniżej, lub nawet położyć przed sobą na ziemi.

5) Gdy dropie, spędzone przez naganiające je furmanki, nadlatują, cierpliwie doczekać dopóty, dopóki nie nadlecą nad samą głowę, i wówczas dopiero podnieść się szybko, lecz swobodnie, i wybierając najbliższe sztuki, strzelać.

Dalej czytamy: „Najlepszą porą do polowania na dropie jest koniec żniw, kiedy późniejsze owsy stoją jeszcze w mędlach, a hreczka kończy dojrzewać. W owym czasie ulubionem ich miejscem pobytu są zazwyczaj hreczki i wcześniejsze podorywki, zarosłe wysoką ognichą. Gdzie tylko wiadome są lubiane mniej więcej przez nie miejsca, a w pobliżu znajduje się hreczka, lub porośnięta ognichą i chwastami podorywka— prawie napewno twierdzić można, że dropie tam się znajdzie.

„Dropie młode, późniejszego wylęgu, strzelać można z pod psa, gdyż nie mogąc się jeszcze dobrze zrywać. dotrzymują bardzo blizko, często na 15 — 20 kroków; stare zaś i młode, wcześniejszego lęgu, najlepiej płoszyć, notować punkt, w którym ponownie siadają, i zakładać na nie z naganką. W tym razie myśliwi powinni bezwarunkowo zasiadać od strony tego miejsca, z którego pierwotnie je się spłoszyło, a naganka — naganiać ze strony przeciwnej; w tym czasie bowiem dropie wogóle odlatują bardzo niedaleko i najchętniej wracają w to samo miejsce, z którego się początkowo zerwały“.

Nowy jest także sposób polowania przy nocnem oświetleniu, opisany przez pana K., jak następuje: Należy wieczorem upatrzeć, gdzie dropie na noc zasiadły. Gdy się już ściemni zupełnie, wybrani do tego ludzie podsuwają się ku dropiom, rozstawiają kilka lub kilkanaście snopów słomy, którą następnie zapalają (sami, naturalnie, odchodząc). Myśliwi zaś ze strony przeciwnej podchodzą i strzelają. Oczywiście—dropie wytężają wzrok i uwagę w stronę palącej się słomy, i będąc oślepione, nie widzą dostatecznie myśliwych, podsuwających się ku nim ze strony przeciwnej, ciemnej; gdy tymczasem myśliwi na ciemnem tle nocy widzą doskonale oświetlone dropie. Do tego wybierają się noce jaknajciemniejsze.

(*Dok. nast.*).

Usiadł na ziemi, gdzie stał, ja obok i zaczęliśmy oddychać, jak miechy kowalskie.

„Wiesz, gdzie jesteśmy“? pyta po chwili ojciec.

„Nie mam pojęcia“ odpowiadam, „nigdy jeszcze tak daleko nie zaszedłem w tych lasach: zresztą straciłem pamięć kierunku, z którego przyszliśmy“.

„Jesteśmy na terytoryum...“ i wymienił jakąś nazwę, która mi obecnie po tylu latach z pamięci wypadła.

Ojciec popatrzył na zegarek. Wskazówka stała na 4-ej. A więc gonitwa trwała prawie dwie godziny! Byliśmy tak zmęczeni, że nie mogliśmy wymówić płynnie całego zdania, lecz zaledwie urywane słowa. A wyglądaliśmy!... Ktoby nas był w tej chwili zobaczył, byłby nas wziął za zmartwychwstałych członków bandy Dobosza, który także i w tych stronach grasował. Ubranie podarte, twarze czerwone i brudne od potu, a ręce niemiłosiernie podrapane.

Po dłuższym wypoczynku przypomnieliśmy sobie, że śniadanie, wzięte z domu, leży nieruszane w torbach.

Młodsi adepci sztuki myśliwskiej nie mają pojęcia o dawnych torbach myśliwskich. Były to w porównaniu z dzisiejszemi, miniaturowemi torebkami, kolosy. Bo też i musiały być takie przestronne w czasie panowania broni pistonowej. Były one w ten sposób urządzone, że z przodu były schowki na blaszane patrony, pod niemi miejsce na rożek z prochem i woreczek ze śrótem, oraz na kapciuch z tytoniem (dla palących fajkę) i na prowiant; z tyłu zaś była długa, rozsuwalna rura skórzana, w której mieścił się cały zając!...

Wyjęliśmy tedy z torb, kształtu wyżej opisanego, suchą kiełbasę z czosnkiem (inna nic nie warta), własnego, domowego wyrobu, gomółkę sera zgliwiałego, usmażonego na maśle, i pudełko sardynek, a łyknąwszy po dobrym haustcie kminkówki również własnego wyrobu, zabraliśmy się do jedzenia z apetytem, którego chyba bliżej opisywać nie potrzebuję.

Gdy przypominam sobie dziś śniadanie, dopiero opisane, przychodzi mi na myśl, że jak pod wielu innemi względami, tak i pod tym względem dawniejsze czasy lepsze były od dzisiejszych. Bo proszę państwa, dawniej człowiek mógł bez obawy łyknąć kieliszek nalewki, w naszym umiarkowanym klimacie, tak dobroczynnie na organizm działającej i potrzebnej. Dziś, ile razy przyjdzie człowiekowi gust na zakropienie robaka, musi ze strachem oglądać się na wszystkie strony, czyli z jakiego kąta nie podpatruje go członek Eleuteryi, by go następnie pociągnąć przed swoje forum. Żebyście jednak państwo nie myśleli, że

LIZAWKI.

(Dokończenie).

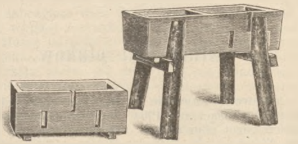
Dostarczanie zwierzynie fosforanu wapna, zawartego w masie lizawkowej, przyczynia się także, jak stwierdzono, do lepszego formowania się rogów. Chodzi jednak o to, żeby zwierzynę zachęcać do korzystania z lizawek. Między innemi, zachętę taką stanowi naczynie praktyczne.

Należy przedewszystkiem unikać wszelkich naczyń drewnianych, ponieważ za silnie podlegają wpływom atmosfery; gdy nastaje susza, masa w nich się zsycha i twardnieje za mocno; kiedy zaś deszcz pada, to masa się nie rozmiękcza, lecz woda spływa przez szpary. O ile zwierzyna już zaczyna korzystać i lizawki są nawpół opróżnione, to z nastaniem większego deszczu, woda zalewa masę, która staje się nieprzystępną na czas dłuższy, ponieważ skrzynia drewniana pęcznieje i nie wypuszcza wody. Używają także naczyń kamiennych lub glinianych; wszystkie one jednak mają tę właściwość, że przy długotrwałym deszczu tyle w nich się wody nazbiera i zatrzymuje, iż przez dłuższy czas stoją bez użytku dla zwierzyny.

W ostatnich czasach niejaki Paweł Zorn, zarządzający rewirem myśliwskim „Brand“ w okręgu Lignickim, na Dolnym Szlązku, wynalazł i opatentował naczynie gliniane, odznaczające się tem, że zbyteczna woda sama z niego spływa i że można zupełnie dowoli regulować wilgotność. Prócz tego ma ono tę zaletę, że można przy jego pomocy zmusić formalnie zwierzynę do lizania, naczynie bowiem jest związane z drugiem naczyniem pokarmowem. To skombinowane naczynie jest odpowiednie zwłaszcza dla saren, które najmniej chętnie przyjmują masę solną.

Obchodzi się z tem naczyniem, jak następuje: Przed ustawieniem go na miejscu pokarmowem, zasmarowuje się otwory gliną tłustą, t. zw. ciąglicą, poczem napełnia się naczynie masą do lizania. Gdy zwierzyna zaczęła już brać z lizawki, *usuwa się od czasu do czasu ciąglicę z otworów do miejsca, z którego zwierzyna już wybrała masę;* w ten sposób można utrzymywać lizawkę w stanie mniej lub więcej wilgotnym i ochronić ją od utonięcia pod wodą deszczową. Ustawiwszy lizawkę, zaczynamy karmić zwierzynę z drugiego podziału w naczyniu, zwanego pokarmowym. W rewirach, gdzie zwierzyna nie zna jeszcze karmienia, dobrze będzie na początek rozrzucać pokarm na znacznej przestrzeni wokoło naczynia, aż zwierzyna się do tego przyzwyczai i zacznie w końcu brać z samego naczynia. W niem znajdują się na dnie trzy dziurki, przez które woda deszczowa sama spływa.

Gdy zwierzyna dłuższy czas karmi się przy tem naczyniu, to zaczyna także bez trudności brać masę solną. A gdy się już przyzwyczaiła dostatecznie, można ustawiać potem w rewirze zwyczajne lizawki,



Naczynie Zorna.

nie połączone z przedziałem pokarmowym. Trzeba jednak wtedy uważać na to, żeby wszystkie lizawki miały jednakowy witerunek; osiąga się to bardzo łatwo, posypując je odrobiną proszku zwierzynnego *(Wildpulver).*

Odpowiedniemi do ustawiania lizawek są te miejsca, gdzie zwierzyna *rana* się zatrzymuje, lub ciągnie, gdy nażerała się do syta; następnie także na miejscach bagnistych, albo na polankach, śród gąszczów, wogóle na miejscach spokojnych, gdzie zwierzyna chętnie stoi, a *nigdy tam, gdzie żeruje wieczorem.* Spostrzeżenia stwierdzają, że zwierzyna dopiero wtedy zawsze liże, gdy już skończyła żerowanie, a przeto lepiej jest ustawiać lizawki na skraju łąki w gąszczach lub w miejscach, gdzie rano przebywa spokojnie.

---

mnie za często przychodzi gust na nalewkę, to przyznam się, jak na spowiedzi, że zdarza się to dwa razy na dzień: przed obiadem i przed kolacyą. Po maleńkim kieliszeczku piję tak od lat 35 i bardzo mi ten tryb życia służy, czego najlepszym dowodem, że, jak utrzymują moi znajomi (bo ja w mojej wrodzonej skromności nie śmiem tego twierdzić), wyglądam o 15 lat młodziej, aniżeli jest w rzeczywistości. Sam zaś pochwalić się mogę, że nie wiem, co to nerwy, niedomaganie żołądka, ból zębów, niedokrewność, wada serca i t. p. dzisiejsze, modne choroby, A jeżeli, mimo te zapewnienia, kręcisz niedowierzająco głową, panie eleuterzysto, obstając przy swojem twierdzeniu o bezwzględnej szkodliwości alkoholu dla ludzkiego organizmu, to chodź, wzywam cię na.. nożny pojedynek... kto dalej zajdzie w oznaczonym czasie bez zmęczenia, wygra zakład i dostanie od przeciwnika, wiesz co? Butelkę pepermintu Baczewskiego... znakomita rzecz i niedroga.

A niech cię z Eleuteryą — zapomniałem, na czem przerwałem opowiadanie. Aha! Przypominam sobie. Jedliśmy tedy śniadanie, a uporawszy się szczęśliwie z zawartością naszych przepaścistych torb, wyruszyliśmy około pół do szóstej z powrotem do domu.

Niech cię Opatrzność broni od takiego spaceru, jaki myśmy wtedy odbyli. Szliśmy napowrót lasami, gdyż była to najkrótsza droga. Za dnia szliśmy jeszcze jako tako, pomimo ogromnego zmęczenia; ale po zapadnięciu nocy posuwaliśmy się literalnie noga za nogą, macając rękami przed sobą, żeby głowy o drzewo nie rozbić. Pochodu tego nie zapomnę nigdy. Dobiliśmy się do domu dopiero o g. 10 w nocy, w odzieniu mokrem, przesiąkniętem zimną rosą, zmęczeni do najwyższego stopnia.

Wysłani na drugi dzień pobereżnicy z psami, znaleźli niedźwiedzia dobre ćwierć mili od miejsca, w którem po raz ostatni znikł nam z oczu.

Opowiadanie to niech posłuży za przestrogę dla młodszych myśliwych, że w lasy, w których można się spodziewać grubego zwierza, nawet polując na ptaki, nie powinno się puszczać bez kuli w torbie.

Gdybyśmy byli mieli wówczas chociażby jedną kulę, bylibyśmy sobie zaoszczędzili czasu, trudu i... rozczarowania.

Pisałem w Kosowie d. 16 września 1904 r.

(*„Łowiec“*).

Jedynie lizawkę, połączoną z naczyniem pokarmowem, należy ustawić na placu pokarmowym; naczynie to można także używać zamiast zwyczajnej lizawki, i od czasu do czasu kłaść w nią pokarm.

Naczynie najlepiej się tak ustawia, że do połowy tkwi w ziemi. Przytem pożądanem jest tam, gdzie się znajdują dziury i otwory w naczyniu, kłaść kilka kawałków cegły, lub trochę kamyków na dnie, żeby woda miała łatwe ujście. W rewirach, w których przebywają dziki, *trzeba koniecznie* naczynie ustawiać na kozłach, jak to wskazuje rysunek.

Najwłaściwszą porą do ustawiania naczyń jest *jesień*, gdy zaczynamy karmić zwierzynę.

Naczynia mają mocne ściany glazurowane, a przeto się nie zużytkowują.

Jotka.

Ostatnie lęgi ptaków.

Ciekawe zestawienie wyniku lęgów ptasich w latach roku bieżącego i 1904 zamieszcza jedna z myśliwskich gazet niemieckich. Przegląd dotyczy wprawdzie Niemiec, ale biorąc pod uwagę fakt, że nasz klimat niewiele się różni od klimatu licznych prowincyj niemieckich, — pojmiemy łatwo, iż zestawienie to zawiera mnóstwo szczegółów, bardzo dla nas zajmujących i pouczających.

Ogólna charakterystyka lęgów ubiegłego lata opiewa: Trwały one za krótko. Drapieżniki, które wylęgają się w kwietniu, a więc kanie, myszołowy i sowy, oraz ptaki bekasowate, rozmnożyły się w nieznacznej ilości; natomiast większy był przybytek jastrzębi, krogulców, sokołów wędrownych i kobuzów, a najwięcej rozmnożyły się te ptaki, które żywią się owadami. Dzikie kaczki, których ląg zaczął się wcześnie, dały rezultat względnie zadawalniający; mniej zadawalają lęgi kuropatw i bażantów, a jeszcze mniej—przepiórek i chruścieli.

Zanim wyjaśnimy przyczyny wahania się rezultatu lęgów u rozmaitych ptaków, uczynić musimy zestawienie z rokiem poprzednim. Był to przedewszystkiem rok, obfitujący w myszy oraz owady, bardzo suchy. Luty i marzec stanowiły istną wiosnę, a przeto nic dziwnego, że w połowie marca gniazda były pełne jaj kaczek-marcówek, puszczyków, sów uszatych i gawronów, a w końcu marca sokołów wędrownych, jastrzębi, drozdów, wróbli, gołębi, czajek, czapli. Parki miały stałą pogodę słoneczną, obfity pokarm, co je skłaniało do zakładania gniazd wcześnie. Natomiast kwiecień za surowy, zimny i mokry, nie sprzyjał wylęganiu ptaków.

Maj był względnie dobry. Jego ciepło słoneczne grzało wybornie świeże lęgi. Upały straszliwe, które potem nastąpiły, nie mogły już zaszkodzić ptakom. Wogóle tedy należy określić czas lęgów r. 1904, jako dość pomyślny.

Tabelka poniższa określa stosunek ilościowy jaj w gniazdach niektórych ptaków na początku lata 1904 i 1905:

Gatunek	Liczba jaj 1904	i 1905
Sowy uszate	6—7	4—5
Puszczyki	4—5	2
Pustułki	6—7	4—5
Myszołowy	2—3	1—2
Wrony popielate	5—6	4—5
Gawrony	5	3—5

Do Berlina w r. 1904 przywożono ogromną ilość, a w r. 1905 bardzo nieznaczną — jaj czajek, siewek, bekasów, mew i wron.

W roku bieżącym marzec obiecywał dobre wyniki lęgów, natomiast kwiecień zniszczył wszystkie dobre początki, a maj i czerwiec poprawiły lęgi, ale nieznacznie, lecz już koniec czerwca i początek lipca były znowu niepomyślne. Z powodu niesprzyjającej pogody kwietniowej na wiosnę było mało myszy polnych, wężów, żab, chrabąszczów i robaków. Za tem nastąpiła także mała liczba ptaków, tępiących myszy i owady, jak myszołowów, sów, pustułek, wron, oraz bocianów i czapli. Z powodu braku ciepła w kwietniu było także mało tego lata dzikich kaczek i kur, a rzadko kiedy słyszało się kukułkę i dudka. Kiedy jednak w początkach maja zrobiło się odrazu ciepło, spowodowało ono liczny nalot ptaków wędrownych, które już przybywać zaczęły w końcu kwietnia po ociepleniu. Dnia 25 kwietnia widziano w Niemczech słowiki, jaskółki i dymówki, kraski, kukułki i kobuzy, a dnia 4 i 5 maja—wilgi, jerzyki i turkawki.

Burze gradowe, które nastąpiły później, zniszczyły wprawdzie zbyt liczne owady, ale razem z niemi także znaczną ilość gniazd ptasich. Szczególnie ucierpiały lęgi trznadli, skowronków, przepiórek i chruścieli.

Bezustanne ciepło sprzyjało potem w czasie, który nazywamy kulminacyjnym punktem lęgów, gdy mianowicie odbywały się lęgi ptaków śpiewających. Bażanty miały w gniazdach po 12—14 jaj, kuropatwy—16 do 18. Również liczne były potem gniazda niektórych gatunków gołębi, dzięciołów czarnych i zielonych, oraz szpaków.

Ptaki wędrowne rozmnożyły się podczas lata bardzo licznie. Jest przeto nadzieja, że na przyszłą wiosnę powróci ich również znaczna liczba.

Słońce letnie jest, jak wiadomo, bardzo zmienne: raz przygrzewa za gorąco, to znowu niema go tygodniami całemi. Żar słoneczny jest dla jednych gatunków pożądany, dla innych szkodliwy. W ten sposób więc przyroda sama dąży do uregulowania rozrostu liczby różnych gatunków. Słońce przyciąga ptaki wędrowne, jak jemiołuchy, gile, żołny, szczurołownice, stepówki i t. d., ale brak słońca wypędza nawet stałe ptaki, jak sowy uszate, dzięcioły i t. d., które szukają pokarmu gdzieindziej. Dobry pokarm utrzymuje zawsze ptaki w jednem miejscu. W ten sposób przestały wędrować szpaki, drozdy, kawki i gawrony, znalazłszy pokarm dostateczny; gdzieindziej znowu z tej przyczyny rzadkie ptaki, jak kraski, czarne dzięcioły i t. d. stały się zwykłemi. Dodać jeszcze należy, że mylny jest pogląd, jakoby las iglasty mniej może żywić gatunków i jednostek ptasich, aniżeli liściasty; głównie bowiem zależy od ilości owadów: kiedy iglasty ma ich więcej, to w nim pełno ptaków, a w liściastym bywa nieraz pusto.

Jerz.

Ze wspomnień starego myśliwego.

Pierwszy mój dzik.

Rok 1838 utkwił mi w pamięci, dzięki pierwszemu mojemu polowaniu na dzika. Każdy szczegół tego polowania mam tak przed oczyma, jakgdyby to było nie dawniej, jak w zeszłym tygodniu; zdaje mi się, że gdybym się dziś jeszcze znalazł w tych miejscach, wskazałbym moje stanowisko, poznałbym niedługie każde drzewo, koło którego przechodziłem, i wiedziałbym, gdzie i jakie odebrałem wrażenie,—co następnie opowiadać zamierzam.

Na parę tygodni przed świętami Bożego Narodzenia, idąc ulicą, spotkałem się z wujem, który tu za jakimś interesem przyjechał; poszliśmy razem do hotelu i tam wuj zaproponował mi, aby do niego przyjechać na święta. Bardzo chętnie tę propozycyę przyjąłem, bo oprócz serdecznego stosunku familijne-

go, łączyła mnie z wujem żyłka myśliwska. Postawiłem tylko warunek, żebym strzelał, a przynajmniej widział dzika, a gdy mi przyrzeczono, zawiadomiłem rodziców o moim projekcie, a w wilię Willi już byłem u wuja. Noc prawie cała zeszła mi nie na spaniu, lecz na marzeniach o jutrzejszem polowaniu, a raniutko już zupełnie wybiłem się ze snu. Gdy wuj usłyszał, że się przewracam, zaczął wstawać, ja też natychmiast wyskoczyłem z łóżka. Jak tylko dzień się zrobił, nabił mi wuj strzelbę półkulezami [1], a gdy zacząłem się niecierpliwić, dlaczego nie jedziemy, wuj mnie uspokoił, mówiąc: „Cóż to ty myślisz, że dzika to z rękawa wytrząść można; przecież to trzeba pojeździć, poszukać, objechać, na to nieraz trzeba sporo czasu. Bądź pewny, że leśniczy dawno już jest w lesie; jak znajdzie, to nam da znać".

Około godziny 9-ej zjawił się leśniczy z raportem, że dzik leży w mrowisku tu a tu, przy tej a tej dróżce; że wysłał chłopaków, aby na nas czekali pod lasem, i że już zaprzęgają. Wkrótce też pojechaliśmy. Gdyśmy stanęli na wskazanej dróżce, wysiedliśmy i poszli spory kawał, leśniczy zaczął nas rozstawiać, najmocniej zalecając cichość, bo dzik jest nie dalej, jak o 300 kroków, i żeby nie strzelać na dróżce, ażeby kogo nie zranić. Najprzód stanął stary, doskonały strzelec, potem ekonom, następnie wuj, wreszcie ja, a na końcu gajowy.

Nasłuchałem się rozmaitych opowiadań o wypadkach z dzikami; przedewszystkiem utkwiły mi w pamięci słowa mego dziadka: „Gdy idziesz na niedźwiedzia, przygotuj łóżko, a gdy na dzika, to trumnę". Że z trumną zapoznać się nie miałem ochoty, to rzecz naturalna, w tym celu więc wyszukałem sobie stanowisko pod gałęzistem drzewem, na które, w razie potrzeby, z łatwością mogłem dać drapaka. Ktoby mnie z tego powodu posądzał o brak odwagi, grubo-by się mylił, bo ostrożność, zabezpieczenie się od wypadku, nie ubliżają bynajmniej odwadze, a porywanie się, jak mówi przysłowie, z motyką na słońce, to nie jest odwaga, to jest co innego... Przed kilkunastu, czy dwudziestu laty czytałem w gazecie opis wypadku, jaki się zdarzył w Sandomierskiem; szkoda tylko, że nie zapamiętałem szczegółów. Strzelił ktoś z obydwóch luf do dzika: gdy ten rzucił się na niego, myśliwy, chcąc się bronić, porwał strzelbę za lufy, uderzył dzika kolbą w łeb, kolba odleciała, a dzik go ściął. Kuzyn mój, polując na dzika konno z psami, gdy te zwierza przytrzymały i literalnie obsiadły ze wszystkich stron, — stał niedaleko, czekając na sposobność, aby mógł strzelić bez obawy zranienia psa. Tymczasem dzik jednym ruchem strząsnął z siebie psy i skoczył do konia, ale mądry koń wspiął się i przepuścił dzika pod sobą. Czy taka odwaga jest godną naśladowania? Napoleonowi I nikt nie zaprzeczał odwagi, a jednak on powiedział: „Dobry wódz, oprócz planu bitwy zaczepnej powinien mieć zawsze plan odwrotu, aby na wszelki wypadek uniknąć pogromu". Otóż zupełnie takiej samej taktyki należy się trzymać z dzikiem. Przeważnie większa część nieszczęśliwych wypadków pochodzi z braku tego drugiego planu. Jedynie możliwy i skuteczny sposób zbliżenia się do dzika, gdy go psy trzymają, jest: zajść mu z tyłu, a wskoczywszy na niego, pchnąć go nożem pod łopatkę. Lecz przyznam się, że do tego procederu ani kwalifikacyi, ani najmniejszej nie miałem ochoty.

Ale wróćmy do naszego polowania. Gajowy znalazł sobie jeszcze lepsze, od mego, stanowisko; z jednego pnia wyrastały dwa drzewa, jedno było ścięte; na tym pniaku, dość wysokim, stanął. Leśniczy poszedł rozstawić obławę, co gdy uskutecznił, podszedł do dzika leżącego i wypalił. W tej chwili zawarczały trajkotki, zaklekotały kołatki, lecz ponad tem wszystkiem górował donośny głos leśniczego: „pilnuj na lewem skrzydle". Lewe skrzydło, to byłem ja i gajowy. Przedemną był gąszcz grabowy, który mi nie dozwalał widzieć dalej, jak o kilka kroków. Wyobraziłem sobie, że z tego tajemniczego gąszczu musi wyjść dzik, ułożyłem więc plan, w którem miejscu będę strzelał, gdy wyjdzie z prawej, a w którem, gdy z lewej strony, aby kogo nie postrzelić: tymczasem wypalił gajowy. Osobliwszym wypadkiem dzik przyszedł mu pod same nogi tak, że prawie przyłożył mu lufę do łba. Gdyby ją był podniósł ćwierć cala wyżej, byłby dzik w miejscu pozostał, a tak sztof uderzył między kości, nie zdoławszy ich przebić aż do podniebienia. Po tym strzale gajowy krzyknął parę razy „pilnuj", skoczyłem więc w las, pędząc na spotkanie, gdy naraz wypadł z krzaków wuj na swojej kobyłce.

Muszę jej poświęcić krótki opis. Była to klacz niewielka, grubo płaska, wielkich cnót myśliwskich: do strzału stała, jak mur, czy na stanowisku, czy przebiegając, ona najczęściej pierwsza spostrzegała zwierza, dając znać przez skierowanie wzroku i nastawienie uszu. Gdy wypadło zejść z niej i zostawić ją w lesie, nie ruszyła się, dopóki jej nie wzięto, a gdy czasem została za daleko, to szła na trąbkę zwykle galopem daleko ochotniej, aniżeli pies gończy.

K. Dębicki.

(Dok. nast.)

Łosie w Ordynacyi Nieświezkiej.

(Dokończenie).

Jest 7 zrana, nie zapóźno jeszcze, więc idziemy dalej, w głąb nowego ostępu, i oczywiście probujemy zwabić nowego łosia. Stojąc w wielkim gąszczu, spostrzegam dosyć prędko łosia, posuwającego się bez wabu w przeciwnym odemnie kierunku. Widzę jednak, że zatacza koło z wyraźną intencyą zajścia wabiącego Weczerę od tyłu. W manewrze tym nie mógł mnie ominąć i mając go wciąż na oku, obserwuję powolne posuwanie się łosia. Nie mogę tylko dojrzeć łba, tak gęstym i wysokim jest porost młodej łozy i innych krzaków. Nareszcie zbliża się i idzie wprost ku mnie, ale ciągle bez wabu, co budzi we mnie podejrzenie.

Jesteśmy wreszcie od siebie, o 10 — 15 kroków, i widzę wyraźnie, że klępa jeszcze mnie nie dostrzegła, i dopiero gdy się przysunęła bliżej, staje na chwilę w osłupieniu i oryentuje się w pomyłce.

Zapłoniła się cała, wstyd jej było, że tak otwarcie zdemaskowała zapał do spotkania się z osobnikiem rodzaju odmiennego, i oczywiście niebawem zginęła w zaroślach. Rumieńca na obliczu nie widziałem, bo zbyt obficie pokryte włosem, ale w wyrazie pięknych a spokojnych oczu, dostrzegłem i wstyd, i przestrach. A mogła się nie wstydzić wcale, ani się lękać. Nietylko zarzutów nie czyniłem jej żadnych, ale raczej współczułem, że się zawiodła, a lękać się także nie miała powodu, bo przecież nie czyhałem wcale na jej życie. Życzyłem jej serdecznie, żeby drugiego, podobnego zawodu nie doznała, i nie dzieliłem zgoła wymyślań, jakie pod jej adresem posłali gajowi. A szelma, a taka owaka i t. d. I za co? Że szła za głosem natury. Co w tem zdrożnego. Ludzie zapominają o swojej naturze, gdy krytykują zwierza, i jak w bardzo wielu innych wypadkach, nie umieją być objektywnymi ani sprawiedliwymi. Wśród tych rozmyślań i urwanych rozmów, szybko wróciłem do

[1] Nie każdemu może wiadomo, co to są półkulcze. Są to dwie kule, co do wagi równe kalibrowej, — czubki tych kul ścinało się równiutko ostrym nożykiem, następnie przykładało się jedną do drugiej temi ścięciami i silnie zakręcało się w rękach, przez co spajały się dość mocno. Miało to służyć do tego, aby, gdy uderzą w cel, padały blizko jedna drugiej.

obozu, ludzie z końmi i wozem poszli do ostępu po zabitego łosia, a ja niebawem znalazłem się w domku myśliwskim, powitany, jako tryumfator, i jak się pokazało, jedyny, bo nikt inny do niczego nie strzelał.

Obiad, a zaraz po nim przenosimy się w głąb ostępów na nocleg w t. zw „budanach", urządzonych w lesie. Zjeżdżamy się całem towarzystwem i dosyć wcześnie, żeby iść na wyprawę wieczorną.

I ten wab wieczorny powiódł się. Znowu wróciliśmy z łosiem. Padł nie z mojej ręki, ale że w mojej obecności, więc i ten epizod przedstawiam czytelnikom.

Rozrzuciliśmy się po ostępach. Ja wespół z dr. Puljanowskim, hr. Orłowski osobno i osobno także księżniczka Teresa. Ostępy sąsiednie, więc i strzały każdego mogły być dobrze słyszane przez wszystkich. My dwaj mamy najdalej do ostępu, zwanego „Semidierewo". Przekonaliśmy się szybko, że drzew tam znacznie więcej, niż siedm, a ostęp bardzo gęsto podszyty. Po kilkakrotnych, nieudanych próbach, Weczera usłyszał wab. Staliśmy nad nieszeroką, ale długą łąką, którą wabiarz kazał nam przebiedz, dodając, że łosia wyprowadzi na łąkę dla ułatwienia strzału, bo wieczór się zbliża, las gęsty, a przeto i strzał niepewny. Oczywiście stosujemy się do tych wskazówek i wkrótce łoś wychodzi na łąkę, zbliżając się ku nam.

Łoś posuwa się nadzwyczaj wolno, bardzo ostrożnie, w każdym kroku widać, że jest wciąż gotów do cofnięcia się, nasłuchuje się i potężne nogi przestawia bardzo ostrożnie, a wabi półgłosem. Wyraźnie chce znienacka zaatakować tego, co drażni go wabem i do walki wyzywa. Ale widzę już, że ostrożność go nie uratuje. Jest odemnie o jakie sto kroków, ale zdąża w kierunku stojącego niedaleko odemnie, doktora. Jestem gotów do strzału w razie, gdyby łoś zmienił kierunek, lecz ta gotowość zbyteczna, bo, gdy się zbliżył do doktora na odległość 70 — 80 kroków, pada strzał.

Łoś się zachwiał, ale uchodzi w kierunku lasu, z którego wyszedł, pada strzał drugi i łoś ginie nam z oczu w gęstwie leśnej. Zrazu myśleliśmy, że chybiony. I wabiarz, który widział tę scenę, był tego samego zdania, a wahał się nawet i doktór, choć mówi, że mierzył dobrze. Idziemy na ślad. Na łące farby niema, posuwamy się dalej, pierwszy zbliżam się do lasu i dostrzegam na krzakach farbę, o parę kroków coraz więcej, a gdyśmy uszli jeszcze kroków setkę, trafiamy na nieboszczyka. Łoś dostał kulę z przodu w piersi, około lewej łopatki, wylew krwi nie był narazie zbyt obfity, a że miał nogę nietkniętą, więc biegł jeszcze, aż krwotok wewnętrzny zalał płuca i śmierć sprowadził. Drugiej kuli, posłanej za uchodzącym łosiem, nie znaleźliśmy. Nie była już potrzebną, bo pierwszy strzał był bezwarunkowo śmiertelny. Łoś, dwulatek, mniejszy w ciele i rozroście od zabitego zrana. Ciemno już, gajowi zabierają się do wypaproszenia łosia i zostawiamy go na noc w lesie, zkąd nazajutrz rano przywiozą.

Ale w czasie, kiedyśmy łosia tropili, usłyszeliśmy dwa strzały szybko po sobie idące w ostępie, do którego poszedł hr. Orłowski, i jeden strzał w ostępie księżniczki Teresy. Wszakże tylko łoś d-ra Puljanowskiego był tegoż wieczora skonstatowanym nieboszczykiem. Hr. Orłowski strzelał o zmroku, widzieli, że łoś się zachwiał po strzale, znaleźli nawet farbę, ale łoś uszedł i z powodu ciemności tropić dalej nie można było. A księżniczka Teresa miała łosia na strzał, celowała, ale zachowała się grzeczniej, niż którykolwiek z nas, bo nie strzeliła. Strzelec puścił kulę za odchodzącym łosiem, ale bezskutecznie. Organizujemy wyprawę gajowych za łosiem hr. Orłowskiego, a sami, po posiłku, udajemy się na spoczynek. Nazajutrz plan całkiem zmieniony. Doktora i mnie posyłają do ostępów, odległych prawie o trzy godziny drogi w łódce, po rzece Łani, a reszta towarzystwa zostaje na miejscu, zkąd udaje się następnie do ostępu „Kołki".

Właściwie na tem skończyło się moje i doktora polowanie. W ostępach, w których znaleźliśmy się, prześladował nas pech. I najpiękniejsza pogoda nie pomogła. W ostępach, do których mnie skierowano, łosi nie znalazłem. Doktór był o tyle szczęśliwszy, że słyszał ruję, i to parokrotnie, ale łoś nie dał się odwołać od kłępy, a iść na niego nie można było, z powodu strasznych moczarów i topielisk, otaczających wzgórze, niejako wyspę, na której się łosie zgrupowały. Doktór widział sarny, mnie sprawiało rozrywkę fukanie dzików, pomykających w gąszczu, próbowałem wabić jarząbki dla zabawy, widziałem w końcu świeże tropy niedźwiedzia, którego musieliśmy spłoszyć, chodząc po ostępach, ale do spotkania z łosiem nie przyszło. Ostatni ranek wypadł tak samo, a że musiałem wracać, więc zabraliśmy się z doktorem i opuściwszy niegościnne ostępy, około 9 zrana udaliśmy się z powrotem do Nieświeża. W Radziwiłmontach spotkaliśmy się na śniadaniu z księżną Radziwiłłową, opowiadania, podziękowania serdeczne za zaprosiny i polowanie, a na czwarty dzień zrana byłem już w Warszawie, mając w żywej pamięci „rozkoszne dni Aranchuczu".

Już tutaj doszła mnie relacya o trofeach reszty towarzystwa, z którą w lesie jużem się nie widział. Łoś hr. Orłowskiego został znaleziony o parę wiorst od miejsca, w którem był strzelany. Miał w sobie obydwie kule i dobrze ulokowane, ale kaliber sztucera za mały do obalenia odrazu tak dużego zwierza, zwłaszcza, gdy kości nie są potrzaskane, a kończyny całe. Co do pana Świdy, to miał piękny widok. Łoś odpowiadał na wab, ale się nie zbliżał, bo nie chciał opuścić kłępy. Poszli więc na niego, atakowali i na nieznaczną już odległość dostrzegli łosia w chwili..., o którą się ubiegają łosie w czasie rui. W takich warunkach, bez względu na łatwość i możliwość strzału, p. Świda nie chciał pozbawić życia szczęśliwego zdobywcy. Każdy myśliwy postąpiłby tak samo i uszanował chwilę szczęśliwości żyjącego stworzenia. Przeczekał więc i gdy łoś zirytowany niepokojeniem go, rzucił się do atakowania rzekomego rywala, p. Świda puścił dwie kule. Ale strzały nie dały rezultatu, a raczej ujemny, bo łoś farbował i bez względu na niezwłoczny pościg, zginął. A przyczyną tego znowu mały kaliber sztucera. Nie, na tak dużego zwierza, nie można iść z bronią małokalibrową, a przynajmniej trzeba koniecznie starać się o ulokowanie kuli tak, żeby łosia z nóg zwalić, i powtórnym a szybkim strzałem w szyję lub w tył głowy, dostrzelić. Inaczej mała kula skaleczy zwierza, często nawet śmiertelnie, ale zwierz uchodzi i dopiero po pewnym czasie ginie z choroby, wywołanej źle umieszczonym pociskiem.

Za strzał pewny, zwalający bezwarunkowo łosia z nóg i niewymagający nawet strzału powtórnego, uważam strzał w środek przedniej łopatki. Kula tu umieszczona, strzaska jedną łopatkę, albo i obydwie, przebije serce i zwierz ruluje odrazu, i z miejsca, w którem został strzelony, kroku uczynić nie może. Łosie, które zabiłem w ten sposób, padały od razu, od kuli, posłanej ze sztucera Springerowskiego, kaliber 500. Być może, że i mniejszy kaliber sprowadziłby ten sam skutek przy umieszczeniu kuli w środku przedniej łopatki (pomiędzy stawem nogi a krzyżem), ale i na polowaniu, które opisałem, przekonałem się, że kula małokalibrowa nie wystarcza do obalenia łosia. Jeden, strzelony doskonale od przodu w piersi, szedł po strzale tęgim kłusem, jakgdyby nie był wcale trafiony, i padł dopiero na pewnej, dość znacznej odległości od miejsca strzału; drugi, trafiony na komorę, uszedł wiorst parę od miejsca strzału i zaledwie na drugi dzień został wzięty, a trzeci, z dwiema małokalibrowemi kulami, zginął dla myśliwego i zmarnuje się. Nie, na dużego zwierza trzeba większej kuli. Skoro się go strzela, to trzeba zabić, a do tego kaliber 500 i umieszczenie kuli w łopatce lub kręgach szyjowych wystarcza.

Poddaję to pod krytykę myśliwych, bardziej praktycznych, ale myślę, że słuszność po mojej stronie.

A. Pułjanowski.

Józef hr. Potocki.

Notatki myśliwskie z Dalekiego Wschodu.

CEJLON.

(Ciąg dalszy).

Opuściwszy Suez w nocy 29-go, ujrzeliśmy nazajutrz przesuwające się przed nami w blasku rannego słońca trzy malownicze szczyty góry Sinai, piętrzące się w dali, za skalistemi wybrzeżami półwyspu tegoż nazwiska. W zatoce Suezkiej widzi się brzegi obu kontynentów; na morzu Czerwonem traci się je z oczu zupełnie.

Po przebyciu koła zwrotnikowego, pogoda nieco się zepsuła, niebo się zachmurzyło i silny wiatr zerwał się z południa, wstrzymując chód okrętu i trzęsąc nim niemiłosiernie. Nawiasem mówiąc, rzadki to wypadek niepogody o tej porze roku na morzu Czerwonem.

Z 12-godzinnem opóźnieniem przebyliśmy w nocy 31-go cieśninę Bab el-Mandeb, minęli angielską wyspę Perim, ten Gibraltar morza Czerwonego, i nazajutrz po południu stanęliśmy w Adenie.

Po raz trzeci w życiu miałem sposobność oglądać ów chaos wulkanicznych bloków i nagich głazów, z których geniusz i energia Albionu zdołały stworzyć punkt niesłychanie ważny dla strategii morskiej i światowego handlu, formując tu główny skład niezbędnego dla wszystkich, węgla, pod strażą armat angielskich i warownej fortecy.

Tym razem brakowało do kompletu krajobrazu w Adenie, palącego słońca i niebieskiego, jak szafir, morza; siwe chmury przeciągały po niebie, chłodny wiatr dął z oceanu, burzliwe fale pieniły się około zatopionego w samym porcie, parowca, którego trzy maszty, sterczące z wody, już cztery lata temu widziałem.

Korzystając z kilkogodzinnej przerwy, odbyliśmy powozem przejażdżkę po Adenie i okolicy, oraz zwiedziliśmy znane cysterny, będące głównem „atraction" Adenu.

Ferek, towarzyszący nam na koźle powozu, odnalazł tu kilku przyjaciół i towarzyszów z Zanzibaru, z którymi służył w Afryce Środkowej w wyprawach Wissmana. Wielka była radość z tego powodu: ściskali się za ręce, pokazywali białe zęby w szerokim uśmiechu i szwargotali po murzyńska. Byli to Somalisi z przeciwległego wybrzeża Afryki, t. zw. Somalilandu, skąd zazwyczaj rekrutują eskorty i karawany ekspedycyj myśliwskich do Afryki Centralnej.

Aden to jakby wrota do odmiennej strefy, punkt przełomowy dwóch światów między malowniczym Oryentem a egzotycznemi krainami drugiej półkuli.

Nazajutrz minęliśmy przylądek Guardafui, ten w morze wysunięty, niebezpieczny dla marynarzy, cypel afrykańskiego kontynentu, którego nazwisko ma im przypominać wyrazy: „Baczność! uciekaj!" (guarda! fui!), i pozostawiwszy za sobą wyspę Sokotora, wypłynęliśmy na pełny Ocean Indyjski.

Marynarze opowiadają, że brzegi przylądka Guardafui są pokryte resztkami rozbitych lub osiadłych tu na mieliźnie, parostatków. Jeden z wielkich parowców francuskich „Indo-Chine", nazwiskiem „Mekong", przepadł tu kilka lat temu, wjechawszy na mieliznę, z której nie zdołał się wybawić. Załoga i pasażerowie musieli wśród strasznych męczarni od piekielnego skwaru słońca brnąć pieszo w głębokim piasku aż na brzeg przeciwległy w zatoce Adeńskiej.

Mówią, że nie daleko wybrzeża koczują wewnątrz kraju dzikie szczepy Somalisów, żyjące niemal wyłącznie z rabunku okrętów, rzuconych zawistnym losem na te brzegi niegościnne.

Zwracamy się na południe ku równikowi. Odtąd słońce jeszcze gorętsze, morze niebieskie, jak szafir, a firmament wśród cudnej nocy podzwrotnikowej jaśnieje niezwykłym blaskiem milionów gwiazd; białym szlakiem rysuje się wyraziście droga mleczna. Oglądamy widoczną w tych strefach, gwiaździstą konstelacyę krzyża Południowego, podziwiamy niezwykły blask Wenery i ukazujące się niekiedy podczas pięknej i spokojnej nocy, przepyszne zjawisko fosforencyi morza. Jak daleko oko zasięgnie, powierzchnia wody jaśnieje, niby jedno, bezbrzeżne, migotliwe morze światła.

Zjawisko to wywołują miliardy pelagicznych żyjątek, krustace i meduzy (Pyrosoma), wydzielające ze swych ciałek mikroskopijnych świetlane atomy.

Jedenastego dnia podróży minęliśmy mały archipelag Minakoiski, grupę drobnych, drzewami kokosowemi porosłych wysepek, koralowej formacyi, a nazajutrz, 8-go lutego, zbliżyliśmy się do kresu naszej podróży, przebywszy w ciągu dni dwunastu długą przestrzeń 3,434 mil morskich (6,377 kilometrów), dzielącą Suez od Colombo.

ROZDZIAŁ II.

Cienie nocy pozbawiły nas przyjemności pierwszego wejrzenia stałego lądu po tak długiej przeprawie, i zepsuły wrażenie przyjazdu do Colombo. Było jeszcze ciemno, gdy „Calédonien", pod kierunkiem doświadczonego pilota, między dwiema ogromnemi latarniami morskiemi zawinął do portu i zarzucił kotwicę w przystani kolombijskiej.

O spaniu tej nocy nie było mowy, czemu zresztą i piekielna wrzawa, i hałas na pokładzie i mnogich łodziach krajowców, okrążających nowo-przybyły statek z Europy, mimo najlepszych chęci, byłyby stanęły na przeszkodzie.

W brzasku wschodzącego słońca ujrzeliśmy z pokładu po raz pierwszy wynurzające się z cieni nocnych, płaskie i palmami porosłe wybrzeża rajskiej wyspy.

Brzask trwa krótko w tych strefach i niebawem ognista kula słoneczna wychyliła się z za horyzontu na bezchmurnem niebie cudnego poranku i oblała złotym blaskiem jasnych promieni niebo, morze i piętrzące się przed nami, wzniosłe gmachy i domy stolicy Cejlonu.

Gwar i ruch niezwykły zapanowały na pokładzie naszego statku. Ajenci rozmaitych hoteli, urzędnicy pocztowi, napół nadzy kulisi, obładowani przeróżnemi wiktuałami na sprzedaż, poważni Syngalezi z grzebieniem szyldkretowym na kobiecej fryzurze, krzykliwi Moormani, czyli muzułmanie cejlońscy, z tajemniczą miną zachwalający jakiś szafir ogromny lub rubin niezwykłej czystości, który częstokroć okazuje się kawałkiem prostego szkła w ręku oszukanego nabywcy, cisną się, szturchają i starają się wzajemnie przekrzyczeć w ciżbie zdziwionych podróżnych, a wśród nich nowo przybyły turysta nie wie, na co wpierw patrzeć i co wprzód podziwiać.

W zgiełku tym, różnobarwnym odszukaliśmy przybyłego na nasze spotkanie, dyrektora hotelu, p. von Raden, i w jego szalupie dostaliśmy się na ląd stały Cejlonu i niebawem rozkwaterowali się w położonym koło samej przystani, pysznym hotelu Great-

Oriental, czyli G. O. H., jak go tu w skróceniu nazywają.

G. O. H. znajduje się pod kierownictwem pana v. Raden. Węgra rodem, który z niezwykłemi zdolnościami dyrektora hotelu łączy, nadzwyczaj uprzejmą usłużność dla cudzoziemców i jest prawdziwą opatrznością dla nowo przybyłych turystów w tej odległej miejscowości Dalekiego Wschodu.

Sam hotel nic nie pozostawia do życzenia; położeniu nad morzem zawdzięcza stosunkowy chłód temperatury, pokoje ma czyste i przestronne, kuchnię dobrą i usługę wyborną. Szczególnie wieczorem ogromna sala jadalna o śmiałej architekturze, w olbrzymich arkadach przez wysokość dwóch pięter się wznosząca, przedstawia barwny widok nowoczesnej elegancyi z wyraźną cechą egzotycznej krainy,—gdy liczne towarzystwo w wytwornych, wieczorowych toaletach zasiądzie do stołu w blasku świateł tysiąca, pod ogromnemi punkami, czyli wachlarzami, wśród roju biało ubranej służby, której oryginalna fryzura i czarne twarze, o typie odmiennym od wszystkiego, co się dotąd widziało, stanowią malowniczy szczegół tego oryginalnego obrazu.

(C. d. n.)

Dzikie osły beludżystańskie.

Chcąc dokładnie ocenić to zwierzę, trzeba najpierw poznać dzikiego osła, którego mamy kilka gatunków. W środkowej Azyi napotykamy ich dwa: we wschodniej części mieszka t. zw. *dżigetaj*, a w zachodniej *onager*; również w Egipcie, pomiędzy rzeką Nilem a morzem Czerwonem, znajduje się afrykański dziki osioł, zwany *hamarem*. Znacznie mniejszy wzrost, dłuższe uszy, krótka grzywa, ogon krótkim włosem porosły, a tylko na końcu, kiścią dłuższych włosów opatrzony, — odróżniają go od pokrewnego mu konia. Kto widział tylko zwykłego, domowego osła, ten nie ma pojęcia o piękności dzikiego jego przodka. Daleki od leniwej i przygnębionej postaci domowego niewolnika, zwierzę to w ojczystej swej pustyni jest wzorem dziarskości i odwagi. W zachowaniu się jego jest coś szlachetnego, a chód jego jest dumny i wspaniały, gdy kroczy przez skały lub piaski bezbrzeżnej pustyni i z koniem idzie w zawody, zdolny w biegu wyprzedzić najszybszego konia.

Zwierzęta te trzymają się stadami od 20 do 60 sztuk, a w pewnych porach roku oddzielne stada łączą się i pasą razem; wówczas też można ich napotkać po kilkaset sztuk, gromadnie żerujących na równinach stepowych pod strażą samców, przewodników stad. Niezwykła czujność i płochliwość tych ostatnich nie dozwala myśliwemu zbliżyć się do stada. Do żadnej innej zwierzyny nie jest tak trudno się zbliżyć.

W stosunku do innych zwierząt, dzikie osły przejawiają łagodność i towarzyskość. Afrykańskie pasą się często razem ze stadami strusi lub antylop, a azyatyckie napotyka się w towarzystwie dzikich baranów, kóz i innych zwierząt, a nawet zbłąkane i zdziczałe konie przyjmują do swego stada.

Za to względem człowieka, dziki osioł zachowuje się z całą nieufnością i w żaden sposób nie daje się oswoić.

Nawet małe, wychowane śród koni domowych, dorósłszy, okazywały tyle nieposkromionej dzikości, że musiano wyrzec się nadziei ich obłaskawienia. Można zresztą przypuszczać, że w znanych nam wypadkach nie umiano poprostu odpowiednio postępować z niemi, ponieważ niektórzy podróżnicy są przeciwnego zdania.

Mięso dzikiego osła cenione jest bardzo, nietylko przez ludy azyatyckie, ale nawet przez arabów, którzy mięsa z osłów domowych nie używają nigdy. Z tego więc powodu, a równie i z powodu trudności, z jakiemi jest połączone, polowanie na zwierzęta bardzo jest rozpowszechnione. W Egipcie starają się łowić je żywcem dla krzyżowania z domowemi osłami, celem polepszenia ich rasy.

KONKURS DLA MYŚLIWYCH.

Wydawca lipski, R. Voigtlaender, ogłosił niezwykły konkurs, który polega, według doniesienia „Fotografa warsz.“, na zebraniu przy pomocy ciemni fotograficznej, obrazów, mogących posłużyć do naukowego badania życia zwierząt na podstawie dowodowego znaczenia tego rodzaju dokumentów. Wyklucza on wszelkie wizerunki zwierząt obłaskawionych, trzymanych w niewoli, lub też bydła domowego. Zwierzę powinno być widocznem w całej postaci, co zapewne będzie nieraz trudnem do wykonania, o ile będzie szło o wizerunek stworzenia lękliwego, zwinnego lub też żyjącego w ukryciu. Piękne przykłady takich robót znaleźć można w pracy dwóch Anglików. Keartonów (R. Kearton. *Wild life at home, how to study and photograph it.* London, Cassel et Co.), a nie brak ich również w różnych gazetach, poświęconych polowaniu, sportowi lub fotografii. Należy się starać nietylko odtworzyć rysunek samego zwierzęcia, lecz równocześnie scharakteryzować jego postawę, zajęcie i t. p. Tak np. ptaki należałoby fotografować na gnieździe obok młodych: zwierzęta drapieżne wraz z ich zdobyczą; uwidocznić wzajemne walki, ucieczkę przed nieprzyjacielem naturalnym, oczekiwanie w zasadzce, sposób budowania gniazd, grzebania jam i t. p. Łatwem to nie będzie, lecz jeśli Schillings mógł nagromadzić setki podobnych zdjęć, pracując pośród lwów, hyen, szakali, nosorożców i t. p., w warunkach klimatycznych i kulturalnych bardzo trudnych, to o ileż łatwiejsze zadanie będzie miał każdy fotograf wśród dobrze mu znanych łąk i lasów w okolicznościach nieskończenie prostszych, wygodniejszych i przyjemniejszych. Okoliczności szczęśliwie często same się po temu nastręczają, wieleż to bowiem razy, podczas dalszych lub bliższych wycieczek, spostrzegamy sceny z życia zwierząt, które zdają się tylko czekać na nasz aparat. Należy wyzyskać systematycznie to, co często ślepy traf nasuwa przed nasz objektyw, złączyć usiłowania swe ze wskazówkami doświadczonego myśliwca, a niewątpliwie da się otrzymać prędzej lub później zbiór dokumentów niemniej ciekawych, niż te, które przywiózł odważny podróżnik z głębi Afryki.

Najbardziej pożądane byłyby zdjęcia, robione teleobjektywem lub stereoskopowe. Termin zgłoszeń oznaczonym ma być w marcu r. p., ktoby przeto chciał się poświęcić tym ciekawym studyom, ma jeszcze dużo czasu przed sobą. Zapewne niejeden z myśliwych będzie miał po temu liczne okazye, wdzięczne bowiem po temu pole dać mogą np. żubry w Białowieży, a dalej dziki, sarny, niedźwiedzie, łosie, dropie, susły, świstaki, kozice i t. p. zwierzęta, zamieszkujące różne dzielnice naszej ziemi. Lecz nawet w najbliższem otoczeniu naszem, wśród życia naszej wsi, przy pewnej zręczności i cierpliwości, udać się mogą fotografie przy świetle wybuchowem, odtwarzające obyczaje naszych lasic, tchórzy i t. p. Nietylko przeto dla nagród, wcale wreszcie ponętnych, lecz dla współudziału w tak kulturalnem przedsięwzięciu, pozwalamy sobie zachęcać do podjęcia usiłowań w tym kierunku. Poniżej podajemy ważniej-

sze wymagania Voigtlaendera, mogące obchodzić tych, którzyby chcieli stanąć do apelu.

Przedewszystkiem zastrzega on, żeby zarówno negatyw, jak i odbitka nie były w jakibądź sposób retuszowane, żeby przeto nie utraciły cechy dowodu rzeczowego. Fotografie nie powinny być powiększane, mają być one naklejane na karton, opatrzone znakiem autora i nazwą łacińską zwierzęcia. W razie nadesłania kilku różnych odbitek, znak może być ten że, należy je wszelako ponumerować. Pożądanem jest dołączenie obrazu powiększonego. Nazwisko autora mieścić się powinno, jak zwykle, w zapieczętowanej kopercie, oznaczonej tymże znakiem, co i odbitki, oprócz tego dołączyć należy w kopercie:

a) nazwę miejscowości, oraz czas i bliższe wiadomości, tyczące wykonanego zdjęcia, jak również wskazać objektyw, przesłonę ogniskową, czas naświetlenia i rodzaj płytki;

b) zapewnienie honorowe, że zdjęcie dokonanem zostało ze zwierzęcia, żyjącego na wolności. Jeśli zaś fotografowano w miejscu oddzielonem, oparkanionem — podać obszar tego rewiru;

c) objaśnienie, czy dany obraz nie był już pomieszczonym w jakiej publikacyi lub t. p.

Nagród zapowiedziano 18; pierwsza wynosi 1,000 mr., druga 500. Następnie idą dwie po 250, cztery po 100 i dziesięć po 50 mr. Prócz tego firma zastrzega sobie możność nabycia oddzielnych fotografij na wyłączną swą własność, płacąc po 10 mr. za sztukę.

NA CZASIE.

Powodowany zasadą „czem kto może, niechaj dla ogólnego dobra dopomoże“, zabieram głos w dwóch sprawach, chociaż one, co prawda, dotykają tylko pośrednio kwestyj łowieckich.

Kilka tygodni zaledwie dzieli nas od sezonu polowań zimowych, czyli pory największych atrakcyj dla naszych myśliwych. Widok pięknej kniei, nadzieje spotkania się z grubszym zwierzem, należycie na śniegu uwidocznionym, gęsto padające strzały do szaraków, wreszcie dobrane grono towarzyszy, oto wiązanka miłych marzeń, prześladująca wielbicieli myślistwa, tak we śnie, jak i na jawie.

Jak wszystko na świecie, tak i zimowe polowania mają swoje czarne strony, dając się częstokroć porządnie we znaki myśliwym, jak np. mróz z silnym wiatrem, zawieje i inne atmosferyczne, nieprzyjazne wpływy, ale te pomijam, gdyż nie wchodzą w zakres niniejszej pogawędki.

Do bardzo dokuczliwych przypadłości zaliczyć należy i owo nieprzyjemne uczucie zimna, objawiające się prawie u wszystkich myśliwych w wewnętrznym ich organizmie, skoro w pierwszych miotach po śniadaniu staną na swych stanowiskach, co wielu tak nieraz silnie denerwuje, że pudła robią częstsze, niż z początku polowania, a fakt ten łatwo każdy sprawdzić może.

Przyczyną tego wewnętrznego zimna, ujawniającego się w tak przejmujących dreszczach, są ni mniej ni więcej, tylko tak niewinne na pozór kieliszeczki wódki, które zwykle tak żywo dla rozgrzewki puszczane bywają w kolejkę, nie tylko przed śniadaniem, ale i w czasie jego spożywania. Wódka, zawierająca alkoholu 30—40%, w pierwszych chwilach powoduje rozgrzewanie żołądka, lecz później, wskutek parowania alkoholu naczyniami krwionośnemi skóry, następuje oziębienie ogólniejsze, wywołujące przykre dreszcze, które niejednokrotnie poważniejszych przypadłości bywają powodem.

Zmieniając nieco *menu* śniadania, można w zupełności tego uniknąć. Zamiast wódki na rozgrzewkę, podać myśliwym gorące piwo, przyrządzone na korzeniach. Dwie szklanki gorącej takiej polewki należycie usposobią żołądek do przyjęcia jedzenia, które bez żadnej obawy spożywać już można. W końcu śniadania zamiast czarnej kawy lub herbaty, podać znowu w szklankach gorące, czerwone wino, przygotowane również na korzeniach, a poręczyć mogę, że nikt dreszczy doznawać nie będzie, nawet przy silnym mrozie.

Jakkolwiek te gorące napitki niepowinny dla nikogo być wstrętnemi, jednakże wiem z doświadczenia życiowego, jak trudno bywa przekonać ludzi do zmiany starych nawyknień, to też przekonany jestem, że nie wszyscy odrazu pójdą za moją poradą i wielu znajdzie się takich, co przy gorących tych napitkach jeszcze i wódeczką raczyć się będą. Panów tych ostrzegam, gdyż łatwo zaprószyć głowę mogą, co wcale na polowaniu nie byłoby pożądanem.

Teraz przemówię, w imieniu wszystkich myśliwych do płci pięknej, a w szczególności do szanownych gospodyń i ich nadobnych córeczek, które przeważnie zajmują się urządzaniem przyjęć na polowaniach, i sądzę, że za to, tak od jednej, jak i drugiej strony, powinienem w nagrodę otrzymać szczere „Bóg zapłać“.

Gościnność jest dodatnią cechą naszego narodu, ale żeby na to miano rzeczywiście zasłużyć mogła, nie powinna być stosowaną wedle przyjętego raz na zawsze szablonu, tylko z uwzględnieniem zachodzących warunków, bez czego stać się może dla gości nietylko niewygodną, ale nawet wielce przykrą.

Przy bezustannym ruchu pozostawanie myśliwych przez cały dzień na mroźnem powietrzu, powoduje zmęczenie, na co powszechnie mało zwraca się uwagi. Zaraz po przyjeździe z polowania, gospodarz upomina myśliwych o szybką zmianę ubrania, albowiem kucharz czeka z gotowym obiadem, a panie niecierpliwią się w salonie. Takie właśnie pilenie gości jest wielkim błędem, w którego następstwie obiad przy małem ożywieniu nie jest spożywany z apetytem, a damy zaledwie półgębkiem bawione. Ażeby mogło być inaczej, poradzę łatwy sposób, który jeśli ściśle wykonany zostanie wedle podanego tu przepisu, to śmiało poręczyć mogę, że myśliwi będą w dobrym humorze i panie z nich zadowolnione.

Cichy, monotonny tryb życia wiejskiego, mało dla pań naszych przedstawia sposobności do rozrywek, nie więc dziwnego, że z okazyi polowania, a zatem liczniejszego zebrania mężczyzn, chciałyby też dla siebie wyciągnąć korzyści, czy to w przepędzeniu wieczoru na miłej i wesołej pogawędce, czy też nawet na tańcach, jak to niekiedy zdarza się tam, gdzie w bliższem sąsiedztwie zamieszkują młode mężatki i panny.

Przedewszystkiem z podaniem obiadu nie śpieszyć, bo sfatygowani myśliwi nie łakną jedzenia, tylko, uczuwając silne pragnienie, marzą o jego zaspokojeniu. W gościnnych pokojach powinno być dobrze ciepło, aby roznegliżowanym myśliwym dać możność z półtorej godziny wypocznienia, i raczyć przytem obficie podawaną, gorącą herbatą, która szybko doprowadzi ich do zupełnej równowagi. Oto w krótkości podane są główne warunki, za których skuteczność poręczam, byle tylko zachowane były. Po takim wypoczynku myśliwi wyśmienitego humoru nabiorą i wesoło prowadząc z sąsiadkami rozmowę, z apetytem spożyją podany obiad, po którym poważniejsi wiekiem z ochotą, zasiądą do ulubionego wincika, a młodzież rozweselona chętnie podąży za damami do salonu;—oto i cała kwintesencya!

J. Biesickierski.

Kronika myśliwska.

(Prosimy Szan. Czyt. naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki).

Antoniny (gub. wołyńska). *w październiku.*

W uzupełnieniu wiadomości, zamieszczonych w Nr. 22 „Łowca Polskiego", przesyłam rezultaty z odbytych u hrabiego Józefa Potockiego w Antoninach na Wołyniu, polowań, w czasie tegorocznego, sportowego sezonu.

Na polowaniach parforsowych, ku czemu służyły, dwie złaje bigli, jedna na większego zwierza, a druga na zające, wzięto dwa piękne jelenie, 5 danieli, 3 kozły i około 70 zajęcy.

Na pierwszem polowaniu, odbytem dnia 23 października w wolickiej bażantarni, bażanty latały znakomicie i rezultat był iście rekordowy, tak, że w naszym kraju, przeszedł najśmielsze nawet oczekiwania, po 9-u bowiem miotach i jednym sztrejfie, znalazło się na rozkładzie: 1 kozioł, 919 bażantów, 26 zajęcy, 25 królików, jastrząb i sowa, czyli razem 973 sztuki, a z przeszukania w dniach następnych, otrzymano jeszcze: 83 bażanty, 2 zające i 3 króliki. Królem tego dnia był hrabia Tomasz Zamoyski, który miał na rozkładzie 255 bażantów, 7 zajęcy i 5 królików. Drugie polowanie nie zostało jeszcze oznaczone, ale według zapewnienia bażantarnika, taką samą jeszcze ilość bażantów—można odbić. Koguty prawdopodobnie odstrzeli się w grudniu a paręset kur przeniesie się do nowo w tym roku urządzonej bażantarni „Helenin" przy lasku Mało Puzyreckim, w nader uroczem położeniu obranej i już do koła siatką drucianą ogrodzonej.

W przerwach pomiędzy parforsowemi polowaniami, urządzono trzy małe polowanka z naganką, a mianowicie: w łozach Wolickich, gdzie padło: 37 kogutów bażancich, 8 słonek, 14 zajęcy i 6 królików; w lesie Mało-Puzyreckim ubito: 2 lisy, 1 kozła, 1 koguta bażanta i 28 zajęcy, i wreszcie, w lesie Czerniatyńskim, gdzie znalazło się na rozkładzie 6 lisów, 2 kozły i 28 zajęcy.

W polowaniach parforsowych, prócz gospodarstwa, hrabiostwa Józefostwa Potockich, z bawiących u nich gości, przyjmowali udział: hrabina Romanowa Potocka, p. Baltazzi, książęta: Ferdynand, Stanisław i Karol Radziwiłłowie, Adam Sapieha i Hubert Lubomirski, Lord Lowat z siostrą, hrabiostwo Franciszkowie Potoccy, hrabiowie: Tomasz Zamoyski, Juliusz Tarnowski, Ksawery Orłowski, Cezary Stadnicki, Alfred Potocki, Stefan Przeździecki, baron Taube i panowie: Dowgiałło, Paweł Górski, oraz znany sporstman, pan Tadeusz Dachowski.

Artur Śliwiński.

Drobiazgi myśliwskie.

Polowanie z przeszkodami. Myśliwi, dzierżawiący polowania w kilkumilowym promieniu Warszawy, są ustawicznie niepokojeni przez straże: policyjną i wojskową. Pomimo posiadania świadectw na prawo utrzymywania broni, myśliwi otrzymują zakaz strzelania, pod karą rozbrojenia. Niektórzy wystąpili z zażaleniami do naczelników powiatów, lecz odpowiedzi nie otrzymali.

Słonki w Poznańskiem. Leśniczy z Przyborówka przy Szamotułach ubił d. 27 października słonkę, której nie widziano już tutaj od lat 20. Dzień przedtem znalazł leśniczy, Zieliński, z Brodnicy pod Śremem, słonkę zmęczoną, która leżała pod płotem.

Potomstwo łowczyny. „Dziennik Poznański" pisze: „W ważnym interesie społecznym chodzi o skonstatowanie, czy żyje jeszcze potomstwo Heleny z Sułkowskich Zbijewskiej, łowczyny wschowskiej. Helena Zbijewska żyła w drugiej połowie XVIII-go wieku. Wszystkie pisma polskie prosimy o powtórzenie tej notatki. Wiadomości przysłać prosimy do redakcyi „Dziennika Poznańskiego".

Międzynarodowa wystawa myśliwska. Sejm niższo-austryacki uchwalił urządzić w r. 1907 w Wiedniu międzynarodową wystawę myśliwską, udzielając na ten cel subwencyi 100,000 koron! Wystawa ta była początkowo proponowana na 1908 rok, przyśpieszono ją jednak o rok cały.

Morawska wystawa myśliwska. W Bernie morawskiem otwarto d. 21 z. m. wystawę myśliwską z okazyi 25-lecia związku łowieckiego. Prezes, August hr. Fries v. Friesenburg, w mowie zagajającej zwrócił uwagę na ważne znaczenie myślistwa dla gospodarstwa narodowego.

Stado wilków. P. W. Neumann z Wołogdy (miasta gubernialnego w Cesarstwie) donosi, że w ubiegłym miesiącu, wrześniu, na drugiej stacyi kolejowej na południu Wołogdy, w odległości 24 wiorst od kolei, w obławie, która objęła wiorstę kwadratową, przy 300 obławnikach i 25 strzelcach, ubito 5 wilków, a 2 ciężko postrzelono. Wilki rozmnożyły się w tamtych stronach bardzo znacznie i pożarły mnóstwo krów, źrebiąt owiec i t. d.

Polowania w Rominte. Pisma niemieckie podają parę szczegółów o przygotowaniach do polowań w Rominte, gdzie niedawno hr. Witte odwiedził Wilhelma II. Drogi w lesie oczyszcza się z chwastów i usuwa wszelkie nierówności oraz przedmioty, wydające szelest przy nadeptaniu. Małe rowki zapełnia się ziemią, przykrywając także okrąglaki, wystające na ziemi, jako korzenie drzewne. Na miedzach łąk sztucznych i wszędzie, gdzie spodziewana jest waga jeleni, urządza się stanowiska, z których cesarz może obserwować zwierzynę w każdym kierunku. Zanim cesarz udaje się na stanowisko, nadleśny uwiadomiony, wychodzi na spotkanie i służy za przewodnika, prowadząc cesarza i nadłowczego do miejsca przeznaczonego. Przedtem mają obowiązek dostarczyć cesarzowi możliwie dokładne dane o liczbie i stanie jeleni kapitalnych w każdym rewirze, który ma być opolowany. Po polowaniu przestawia się drugi raport samemu cesarzowi o rozkładzie jaknajszczegółowszym ubitej zwierzyny. W tym celu istnieją w kancelaryach każdego rewiru myśliwskiego odpowiednie formularze drukowane.

Pojedynek lwów. Niedawno menażerya Bostocka w Niemczech była widownią straszliwego pojedynku dwóch lwów z Przylądka Dobrej Nadziei ze wspaniałym, sprowadzonym z Nubii, okazem lwa o grzywie czarnej. Nowego przybysza ulokowano w klatce, gdzie znajdowały się lwy południowo-afrykańskie. Bostock bowiem pragnął wytresować je razem. W sąsiedniej klatce zamknięto niebacznie młodą, piękną lwicę. Otóż przedstawicielka lwiej płci niewieściej zaczęła kokietować sąsiadów, wysuwając do nich bokiem klatki, łapy lub nozdrza. Na konkury te odpowiadał najchętniej lew nubijski, wylegując godzinami w kącie, zkąd mógł dosięgnąć łap lub nozdrzy zalotnicy. Nie podobało się to towarzyszom jego, to też nieraz urządzali mu sceny zazdrości. Wreszcie, o godz. 10-ej wieczorem, rzucili się obaj na niego jednocześnie. Walka zawrzała straszna. Zwabieni rykiem i łomotem, dozorcy menażeryi przybiegli, aby rozdzielić walczących, okazało się to jednak niemożebnem. Przywołano wreszcie Bostocka. Gdy pogromca przybył, lew nubijski leżał już na podłodze klatki. Jeden ze lwów afrykańskich wpił mu kły w gardło, drugi zaś rozrywał brzuch. Posoka zalała całą podłogę klatki (zwycięzcy bowiem byli również ciężko poranieni przez pokonanego mocarza pustyń nubijskich) i przeciekała do klatki sąsiedniej, gdzie piękna lwica, o którą odbył się krwawy pojedynek, zlizywała ją chciwie. Lew nubijski zdechł niebawem, przeciwnikom zaś jego też niewiele brakuje.

Wielkość jaj bażancich. Jeden z ciekawych hadowców wymierzył ściśle wielkość jaj bażantów obrożnych angielskich, zielonogrzbietych i stwierdził, że z 19 sztuk, poddanych doświadczeniu: 1) miało 45 mm. średnicy długości i 35—szerokości, 2) 42 i 33, 3) 44 i 36, 4) 44 i 36, 5) 42—35, 6) 45—35, 7) 46—35, 8) 44—35, 9) 46—35, 10) 46—36, 11) 44—35, 12) 44—35, 13) 45—35, 14) 43—35, 15) 44—34, 16) 45—35, 17) 45.5—36.5, 18) 47.5—35, 19) 47 i 34. Jaja bażantów srebrzystych i Wallicha są tej samej wielkości, bażantów złocistych i Elliota—znacznie mniejsze, bażantów zaś Lady Amhurst—są szczególnie wydłużone.

Karmienie psa chorego. Psy, chore na nosaciznę, które nic jeść nie chcą, czy nie mogą, karmić należy surowemi jajami. O ile pies sam nie chce ich brać, trzeba mu włożyć do pyska na koniec języka, otwierając ostrożnie pysk. Jajo się rozbija, odrzuca lupinę i dodaje trochę soli, pieprzu i szczyptę cynamonu. Psu zwykle to bardzo smakuje, a potem sam już chętnie się tem odżywia. Pieprz i cynamon działają przytem leczniczo, rozgrzewając i podniecając. Przy innych chorobach psa surowe jaja stanowią również pokarm bardzo użyteczny i wzmacniający.

Olej do broni „Never rust“. Fabryka Stadlera w Pradze czeskiej, wyrabiająca dotąd „olej marsowy“ Gilga, zaczęła teraz produkować nowy olej do broni, zwany „Never rust“, który przewyższa najlepsze gatunki angielskie. Olej ten jest pozbawiony kwasów i działa neutralizująco, jest przeto najodpowiedniejszy do czyszczenia broni po strzelaniu prochem małodymnym. Po użyciu prochu nitrowego wystarczy przeprowadzić przez lufy klak pakul, umoczonych w „Never rust“, poczem dalsze czyszczenie gruntowne odłożyć można nawet na 2 tygodnie, a lufy nie będą rdzewiały.

Pijaństwo śród kur, psów i kotów. Nietylko ludzie, lecz i zwierzęta czują niekiedy wyraźny pociąg do napojów spirytusowych. Koguty lubią bardzo chleb, umaczany w wódce, a po spożyciu okazują niezwykłą wojowniczość; bywały wypadki, że kury najadłszy się wisien, które służyły do wyrobu nalewki, padały na ziemię, jak nieżywe. Psy pijają z początku niechętnie, kaszląc i kichając, wkrótce jednak przyzwyczajają się do napojów wyskokowych i stają się wielkiemi ich amatorami. Tylko koty zdradzają nieprzezwyciężony wstręt do spirytusu.

Lekarze psów. W Nowym Jorku są doktorzy specyalnie leczący psy, którzy biorą dziesięć dolarów za wizytę, i mają telefon przy łóżku na wypadek wezwanie w nocy. Niedawno, jedna z milionerek, której pudel zachorował, sprowadziła takiego doktora do New-port i trzymała cały tydzień, płacąc mu po 100 dolarów dziennie.

Łowienie ptactwa w Indyach. Mieszkańcy Indyj Środkowych używają wielce oryginalnego sposobu łowienia ptactwa. Ptasznik zakłada sieć długą, rodzaj worka, rozpiętego na kołach trzcinowych, i ukryty wśród traw, wabi ptactwo gwizdaniem, naśladującem świegot ptasi. Drugi ptasznik kryje się za zebu (wół indyjski) i kieruje zwierzęciem tak, że napędza ptaki do sieci. Gdy zwabione ptactwo znajdzie się w pułapce, ptasznik zamyka ją i wybiera swą zdobycz.

Kobieta kłusownikiem. Już od lat dziesięciu niejaka Anna Derschilt rodem z Braeckeurweiler (w Alzacyi), zapalona kłusowniczka, drwi sobie ze straży leśnej w okolicach Altkirchu, unikając wszelkich zasadzek, jakie na nią miejscowa ochrona łowiecka dokonywa. W ostatnich czasach miejscowa żandarmerya zrobiła na nią wyprawę, gdyż Anna obwinioną była o kilka występków kryminalnej natury. Przyparta do muru, dała trzykrotnie ognia do żandarmów, raniąc dwóch, poczem znikła w gąszczu z taką szybkością, że trzeci z nich dał za wygraną, i począł nieść pomoc swym towarzyszom, na szczęście tylko lekko rannym.

Rzadki okaz. Największą, zoologiczną i myśliwską rzadkością w Niemczech jest zjawienie się zająca śnieżystego (*Lepus variabilis*), czyli bielaka, w parku Rominte, należącym do Wilhelma II. Drobny ten zając, który przebywa, prócz na północy Europy, także na Syberyi, w Rosyi północnej, oraz w Alpach górnych i Pirenejach, znajduje się jeszcze w nieznacznej liczbie w Rominte. Niegdyś było ich tu więcej. Obecnie spotyka się tylko w lęgowisku kur nadleśnictwa Rominte, obejmującem około tysiąca mórg, a mającem przystęp utrudniony. Szata letnia zająca jest ciemniej ubarwiona, niż szata zwykłego zająca, a słuchy ma krótsze.

Freblówka, czy lankastrówka. — Podobno sąsiad w przyszłym tygodniu wyjeżdża do Warszawy?

— A tak, rzeczywiście, wyjeżdżam.

— Mój sąsiedzie, mam do sąsiada prośbę, niech mi sąsiad przywiezie z Warszawy jaką dobrą „Freblówkę“.

— Owszem, owszem, z największą chęcią..

Po powrocie z Warszawy.

— Przywiozłem sąsiadowi, ale nie „freblówkę“, tylko przepyszną „lankastrówkę“, bo „freblówki“ nie mogłem dostać w żadnym składzie broni.

* * *

Kot, czy zając. *Gospodarz* (do kelnera): — Janie! porcya zająca dla tego starego pana!

Kelner (konfidencyonalnie): — Może zaproponować mu co innego? Zapisał się co tylko w księdze hotelowej. To profesor... zoologii! Pozna kota.

* * *

Wesoły niedźwiedź. — Patrz, mężu, jak ten niedźwiedź wesoło tańczy!

— Dlaczego niema tańczyć? Alboż on ma żonę!

Treść Nr. 23 „Łowca Polskiego“.

Prenumerata „Łowca Polskiego“ wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop. kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO“ 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO“ prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO“ Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego“ adresować należy: Smolna 34, w Warszawie.

Skład Artykułów Specyalnych

KRZYSZTOF BRUN I SYN

Krakowskie Przedmieście Hotel Bristol.

Aparaty gimnastyczne pokojowe WHITELY.

WELOCYPEDY

pierwszorzędnych zagranicznych fabryk.

Wagi Amerykańskie „FAIRBANKS"

różnych wielkości i sił.

MASZYNY DO PISANIA REMINGTONA

uznane za najlepsze w świecie.

LAMPY NAFTOWE „WELS'A"

do oświetlania większych przestrzeni.

Koła transmisyjne drewniane, składane.

Cenniki szczegółowe franco, gratis. (20)

ISTNIEJĄCA OD ROKU 1874

Fabryka wyrobów stolarskich

Józef Sawicki

w Warszawie, ul. MOKOTOWSKA 43.

Poleca meble **własnego wyrobu** we wszelkich stylach klasycznych oraz najnowszych fasonach modernizmu (secesyi) z wyborowych materyałów. Ceny umiarkowane. **TELEFON 2625.**

Istnieje od 1854 r.



ZAKŁAD

wypychania zwierząt i ptaków

p. f.

ANTONI ŁASTOWSKI

dawniej S. WYSOCKI

pozostaje na dawnem miejscu t. j. na

Krakowskiem-Przedmieściu № 22.

A. Łastowski

(10) Uczeń Delesalle'a w Paryżu.

ROMUALD WIĘCKOWSKI

Adwokat przysięgły. Chmielna 24.

Do nabycia we wszystkich księgarniach i w Redakcyi „Łowca Polskiego" (Warecka 15).

Nad Nilem Niebieskim

przez **Jana Sztolcmana**

z ilustracyami Józefa Rapackiego.

Jest to niezmiernie interesujące sprawozdanie z łowieckiej wyprawy do Sudanu hr. Józefa Potockiego, któremu towarzyszył autor niniejszego dzieła. Żywo kreślone notatki myśliwskie i opisy przygód łowieckich, zdobią liczne fotografie, zdejmowane przez uczestników wyprawy, która była pierwszą myśliwską wyprawą w tej, mało jeszcze znanej sportsmenom krainie.

Wydanie ozdobne z kolorowaną okładką.

Cena rb. 5.

Prenumeratorowie „ŁOWCA POLSKIEGO" mogą otrzymać to dzieło w Redakcyi (Warecka 15) po 4 ruble.

NAKŁADEM REDAKCYI

„ŁOWCA POLSKIEGO"

wyszły następujące

DZIEŁA MYŚLIWSKIE:

Jul. Biesiekierski „Kuropatwa szara czyli pospolita" t. I z ilustracyami 80 kop.

Wiktor Stephan „Sarna" t. I z ilustracyami 50 kop.

Wiktor Stephan „Zając pospolity" t. I 70 kop.

Ernest hr. Sylva Tarouca „Hodowca a myśliwy t. I rub. 1 kop. 20.

Dr. Max Neumeister „Żywienie jeleni i sarn" t. I 60 kop.

Jan hr. Ostroróg „Myślistwo z ogary" t. I 75 kop.

C. Cronau „Bażant łowny, jego pokrewne gatunki i krzyżowania. Historya i hodowla bażanta oraz zakładanie bażantarni" z rysunkami tom I rub. 1 kop. 50.

Goedde „Hodowla bażantów t. I rub. 1.

Rudolf Weber „Żelaza i pułapki myśliwskie" t. I 75 kop.

Ernest v. Dombrowski „Myśliwy jako preparator i kolekcyonista" t. I 50 kop.

Dr. O Hilfreich „Pies zdrowy i chory" z rysunkami t. I rub. 1.

Karol Lancaster „Sztuka strzelania i polowania". Z rys. T. I. 80 kop.

Dzieła te są do nabycia w Redakcyi „Łowca Polskiego" (Warecka 15) i we wszystkich księgarniach.

Skład główny w księgarni **K. TREPTEGO** (w Warszawie, Marszałkowska 149.

Redaktor i wydawca Jan Sztolcman. Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.